

urzędników ministerialnych z Rygi... Próba zaczyna się, a kolejno zmieniający się dyrygenci: Reuters, Kalniasz i Melngailis prowadzą utwory kompozytorów łotewskich.

Wracam do miasta, aby nie stracić wrażenia jutrzejszej premiery. W tramwaju, czy w sklepie słyhać jedynie rozmowy na temat jutra — tej wielkiej uroczystości, zdarzającej się raz na pięć lat. W roku bieżącym, jako w 20 rocznicę niepodległości — szczególnie uroczystej. Widzę, że całe miasto ma tylko jedną myśl — jutrzejszy festiwal i jedyną troskę... czy aby będzie pogoda?

Chłodny ranek nie daje jeszcze tej pewności. Z nad morza unoszą się mgły. Jest taki nastrój w przyrodzie, jaki panował przed ćwierćwiekiem w kraju Karola Ulmanisa, zanim nie zabłysło dla niej słońce wolności. Ale mgły rozpraszają się i błękit nieba zagląda nam coraz bardziej w oczy. Wypadki z dnia 18 czerwca potoczyły się o wiele prędzej, niż tamte, sprzed wojny. Przez cały ranek suną tłumy widzów na stadion. Puste przedwczoraj ławy zaludniają się. Z lotu ptaka już w południe plac Zwycięstwa wygląda jak mrowisko, wśród którego bieleje estrada i ubarwione łóżka reprezentacyjne. Ludzie płyną zwartą falą, a wśród nich, jak barwne kwiecie, idą chóry. Na kilka minut przed piątą zalega taka cisza, że słyhać wyraźnie, jak u szczytów masztów łopocą trójbarwne chorągwie. Jak grom spada w ten tłum ludzki fanfara, nadana z Rygi — z gmachu teatru narodowego. Oznacza to zbliżanie się orszaku ukochanego wodza, prezydenta Ulmanisa. I znowu cisza... Gdzieś z za Dzwiny biją dzwony starej katedry ryskiej. Jeszcze jedna fanfara: prezydent przyjechał! Za chwilę widzę krzepką, pomimo sześćdziesiątki, postać Karola Ulmanisa. Wita go sędziwy Wiktils, wielki kompozytor, przewodniczący festiwalu. Dziewczęta łotewskie podchodzą do członków rządu, dekorując ich godłami zjazdu. Cisza: — prezydent przemawia... Rozumiem niektóre zdania, mówi o znaczeniu świąt pieśni w czasach przedwojennych, o odbiciu tęsknot Łotwy w lańcach... Słowa padają mocno w blisko stutysięczny, kornie zasłuchany tłum.

Jeszcze chwila, a słowo staje się — pieśnią. Brzmi „Dievs, sveti Lasviju“ — łotewski Hymn Narodowy. A po nim kolejno: kantaty — Mediusza, Granbina, a zwłaszcza przepiękna „Ojczyzna“ Barissona. Zgodny akord wydobywa się z 15 tysięcy pieśni. Wrażenie jest tak potężne i niezwykle, że nie staram się analizować słyszanych kompozycji. Widzę w nich wszystkich, zwłaszcza zaś u Wiktola i Jurjana stylizację pieśni ludowych — odcień dziejów, jakże smutnych, dawnej Łotwy.

Festiwal trwał około czterech godzin, a jednak ani chóry, ani słuchacze nie czują znużenia. Dzieła Wiktola i Melngailsa muszą być bisowane. Publiczność po prostu nie chce się rozstać na długie 5 lat ze swoimi chórami. Muzyczna strona festiwalu dałaby asumpt do ich bliższego omówienia. Ale wzrokowe wrażenie i to głębsze — społeczne znaczenie święta pieśni pozostaną w pamięci widza na długie lata...“

Jakież to wspaniałe widowisko i budujące. Gdy czytamy piękny opis Prof. Burkath'a — my śpiewacy — to mimo woli zaczynamy naszym kolegom Łotyszom zazdrościć. Nie tracimy jednak nadziei, że Warszawa, Kraków, Wilno, Poznań, Lwów, Katowice, dadzą urzeczywistnienie naszych marzeń o Polsce rozśpiewanej, radosnej... Tylko, czy my jeszcze tego doczekamy...?